

romantycznie i naiwnie. A pani, wnioskując z tak śmiałego kroku, do naiwnych nie należała!

Ostatnie słowa pani Zarnickiej przeszły mimo uwagi Józki, nie odczuła ich obrażającej intencji, nie słyszała ich nawet może.

Jedno tylko zrozumiała, że matka Konrada wypędza ją, że nie pozwoli jej zobaczyć się z nim. Musi odejść, nie widząc go, kiedy on jest tak blisko, tak bardzo blisko i może w tej chwili tęskni, może myśli, że ona zapomniła i nie przyjdzie.

Stała, nie poruszając się z miejsca.

— Zegnam panią — odezwała się z naciskiem Zarnicka. — Sądzę, że nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia... Radzę pani odjechać najbliższym pociągiem...

Jak automat obróciła się Józka ku drzwiom. Zanim jednak przestąpiła próg, zatrzymała się...

Cała męka jej serca bryzgała z ust potokiem gwałtownych słów:

— To nieprawda, co pani mówi!... On nie dla kaprysu risał do mnie!... On naprawdę chciał widzieć się ze mną! I pani wie o tem!... O, jaka pani niedobra i niesprawiedliwa!...

Zuskrzyły się gniewem ciemne oczy Zarnickiej. Poskoczyła ku Józce i wyciągnęła rękę takim gestem, jakby zamierzała chwycić dziewczynę za ramię i wypchnąć za drzwi.

W tej chwili jednak do pokoju wszedł wysoki mężczyzna z łysawą już trochę czaszką i śpi często przyciętą ciemno złotawą brodą.

Zarnicka na widok jego cofnęła się i starała się opanować wzburzenie.

— Dzień dobry panu, panie doktorze! Przepraszam pana... Z chwilę służę... Miałam tutaj taką małą, nieprzyjemną przeprawę...

I zwracając się znowu do Józki, nakazującym tonem wyrzekła:

— Zegnam panią!

Józka nie odchodziła... Z pobladłą jak płótno twarzą, niepamiętna na nic, oszalała z bólu, powtarzała:

— On cnie!... on chce mnie widzieć!...

— Pan daruje, panie doktorze, ta panna jest zdaje się nieporozumiała!...

Przenikliwie oczy doktora spoczęły na Józce, przeniosły się na Zarnicką, a potem znowu powróciły do Józki.

— Pani pozwoli — rzekł szybko, uprzedzając energiczny gest Zarnickiej — zebym ja, jako lekarz, przemówił do tej pani.

Podszedł do dziewczyny, która umilkła nagle sama przerażona swoją śmiałością. Przyjrzał się jej uważnie i łagodnym tonem zapisał:

— Czy to może z panną Maliniewiczówną mam przyjemność?

Niebieskie oczy Józki podniosły się ku niemu z wyrazem bezbrzeżnego zdziwienia.

— Tak...

— Pani pozwoli, że się jej przedstawię. Jestem doktor Rzęśniewski. Jakże to dobrze, że pani tak szybko przyjechała!... Mój pacjent, pan Konrad Zarnicki, oczekuje na panią z niecierpliwością!...

— Ależ, panie doktorze! — zawołała przerażona pani Zarnicka. — Co pana uprawnia do przypuszczenia, że syn mój chce widzieć się z tą panną i skąd pan ją zna?...

— Pannę Maliniewiczównę poznałem orazu — odparł spokojnie lekarz — bo widziałem kilkakrotnie jej fotografię u pana Konrada. O tem, że pragnie się z nią zobaczyć, mówił mi nieraz i ja bardzo wiele obiecuję sobie z tego przybycia panny Maliniewiczówny, bo moja wiedza lekarska jest bezsilna wobec nerwowego rozdrażnienia, które nurtuje syna pani!...

— Panie doktorze, pan się myli chyba!...

— Nie, nie mylę się!... P wody moralnej natury opóźniają wyzdrowienie i one muszą być usunięte!... Chodźny, proszę pani! — zwrócił się do Józki. — Chory ciągle dopytuje się, czy nie ma odpowiedzi na list, który ja sam kilka dni temu zaniósłem na pocztę.

— Jakto, bez mojej wiedzy? — krzyknęła Zarnicka, zastępując drogę dr. Rzęśniewskiemu, który, ujawszy Józkę pod rękę, chciał ją wyprowadzić z pokoju.

Lekarz zmierzył rozniewaną kobietę spokojnym, chłodnym spojrzeniem.

— Syn pani, o ile wiem, jest pełnoletni!

— Mój syn nie może widzieć się z tą panną!...

Józka mimowolnie przycisnęła silniej rękę do ramienia doktora... Czuła, że w tym człowieku z poważną, rozumną twarzą i łagodnymi, jasnymi oczyma, ma sojusznika i obrońcę... On ją zaprowadzi do Konrada!...

— Syn pani z panną Maliniewiczówną widzieć się musi!

— Jako matka, zabraniam!...

— Jako lekarz, nie usłucham!... Idziemy, proszę pani!

Wyprowadził drżącą Józkę na korytarz, puścił jej ramię i wskazując ręką przed siebie, rzekł:

— Niech pani idzie... Pokój numer piąty!... Ja tam za chwilę przyjdę!

— Ależ doktorze! Pan oszalał!... Pan jesteś w znowie z tą awanturą!...

— Uwzględniłam nie zwykłe rozdrażnienie pani, niemniej zwracam uwagę, aby się pani zechciała liczyć więcej ze słowami!...

— Na miłość Boską! Toż to niestychane, co pan urządzasz!... Prowadzisz do mojego syna tę jakąś ładną dziewczynę, a mnie, matkę, nie pozwalasz pójść do mojego rodzzonego dziecka!... To już przekracza poza prawa i obowiązki lekarza!...

— Bynajmniej! J jestem najmocniej przekonany, że rozmowa z panną Maliniewiczówną dodatnio wpłynie na stan zdrowia pacjenta... Słaba gorączka u syna pani spowodowana była nie tylko chorobą płucną, ale i podrażnieniem nerwowym.

— Ależ!...

— Niechże pani pozwoli mi dokończyć! Z drugiej strony, nie mogę dopuścić do tego, aby pani synowi robiła jakąś scenę, bo to może spowodować fatalne skutki!... Czy pani chce wywołać atak?...

Zarnicka ponuro pochyliła głowę. Była pobita...

Dr. Rzęśniewski dodał jeszcze:

— Tyle jako lekarz; a teraz jako człowiek powiem jeszcze, że pani, kobieta i matka, mogłabyś trochę więcej mieć litości nad tem biednym dzieckiem!

Pozwoli, ostrożnie, cicho uchyliła Józka drzwi i na palcach stąpając, wsuwała się do pokoju, w którym światło dzienne przyciemnione jest do połowy spuszczoną roletą.

Oczy dziewczyny, jak gońce miłości i tęsknoty, wybiegają naprzód i chciwem spojrzeniem obejmują ciemną głowę męską, opartą o wysoko usłane poduszki. Obok łóżka stoi mały stolik, a na nim kilka niewielkich flaszeczek z aptecznymi etykietami i wysoka szklanka, pełna jasno-rub nowego napoju. Odrążył się na środku pokoju wygląda jak mały, zaimprovizowany ogród, tyle na nim pięknych kwiatów: smukłe, wytworne mieczyki, puszyste, różnobarwne astry, przepyszne chryzantemy, złote kiście mimoz i róże wielkie, rozkwitłe o subtelnej, delikatnej woni, jaką odychają tylko kwiaty jesienne lub cieplarniane.

Chory nie syci wzroku tą powodzią kwiecia, nie sięga ani po lekarstwo żadne, ani po chłodzący napój jasno czerwony, winem snać czy sokiem zaprawiony.

Nie słyszy też lekkiego skrzypnięcia drzwi ni cichutkiego szmeru kroków. Leży z przymkniętymi powiekami nieruchomo, a tylko ręce jego co chwila drgają nerwowo i białością swoją niemal przezroczystą odcinają się od ponsowego tła kołdry.

Niespostrzeżona podchodzi Józka do łóżka i wzrok zatapia w twarzy znanej dobrze, drogiej, a dzisiaj tak zmienionej.

Na policzkach tak wychudłych, że zda się skórą tylko obciągniętych, lśnią małe wypieki, a od skroni, aż ku ustom ciągną się ciemne smugi. Wargi zczerniałe, spękane i broda dziwnie zaostrowana.

Serce wali dziewczynie jak młotem, łyż duszą w gardle i palą pod powiekami.

To on, on! Jaki zmieniony, mizerny, wychudły! Czy śpi?

Ostrożnie, delikatnie kładzie Józka chłodną swoją rękę na gorące, spocone czoło Zarnickiego.

Pod tem dotknięciem drgnęły powieki chorego i podniosły się. Ciemne, wielkie oczy, błyszczące gorączką, spojrzały na Józkę.

Nagle błyskawica szalonej radości i powrót do życia!...

— Józku, ty?...

— To ja! Ja, Konradzie... Jak się czujesz?

— To ty! Ty naprawdę! Mów, niech słyszę twój głos... Może to znowu widziadło gorączkowe... Tyle razy śniło mi się, tyle razy majaczyło w gorączce... Ale nie, ty stoisz, nie znikasz, widzę cię, czuję dotknięcie twojej ręki Józku!...

— To ja przyjechałam, boś mnie chciał widzieć!

Dalej Józka mówić nie może, bo wybuchnęłyby płaczem, sama nie wie, żalu czy radości.

J kby chcąc go upewnić że to ona sama żywa jest przy nim, tuli w swoich drobnych, ale zdrowych i silnych dłoniach te ręce męskie, wycudłe, osłabłe, przejryste jak białe...

— Przyjechałaś!... Jakaś ty dobra!... A ja wątpiłem!... Powiedz, przebaczyłaś, kochasz?...

— Nad wszystko, Konradzie!...

Kilkaście minut potem, gdy Józka zniknęła we wnętrzu sanatorium, do drzwi wchodowych dzwonił Stobiński.

Otworzyła mu ta sama, co i Maliniewiczównie, zgrabna, przystojna służąca.

— Moja kochana pani — zaczął z uprzejmym uśmiechem, grzecznie zdejmując kapelusz — proszę mi powiedzieć! Tutaj niedawno weszła moja kuzynka.

Dziewczyźnie podobało się nazwanie jej „ładną panią”, to też uśmiechnęła się z zadowoleniem i usłusznie odpowiedziała:

— Aha! To pewnie ta panna w popielatym płaszczu, która pytała się o pana Zarnickiego?

Stobiński o mało co nie krzyknął głośno. Nazwisko Zarnickiego wyjaśniło mu odrazu wszystko.

Niejednokrotnie słyszał przecież, nawet od samego Maliniewicza, historię praskiej „awantury”... Do niego zatem uciekła Józka.

Ale to jest sanatorium, więc on chyba chory!

Postanowił więc znie wybadac służącą.

— Tak! Właśnie o pana Zarnickiego! Jakże on się miewa?

— O! Tak tam, niebardzo dobrze... Ch ruje...

— Czy moja kuzynka poszła już do niego?

— Zprowadziłam tę panią do pani Zarnickiej, matki młodego pana...

Zuskrzyły się oczy Stobińskiego. Słatane myśli błyskawicą przebiegały mu przez mózg. Józka skompromitowana. Zarnicki chory! J st z matką! No, ta matka nauczy najpewniej Józkę rozumu! I co potem zrobi ta szalona dziewczyna? Młot nie ożeni się już z nią! Walcząca z nią nie będzie chciała! Maliniewicz z domu wypędzi!

Gdzie ona pójdzie?! Do kogo?! Kto się nią zaopiekuje, jeżeli nie on, Stobiński!

Tak! Zopiekuje się i wtedy odplaci jej za to wszystko! Wbiję jej raz na zawsze z głowy Zarnickich i Nie Zarnickich.

Jak ona tego Zarnickiego kochać musi, jeżeli dla niego...

Piekło dzikiej zazdrości zawrzało w duszy Stobińskiego.

Pamiętał jednak, gdzie i przed kim stoi, to też spokojnie mówił dalej:

— Moja śliczna pani, jak panience na imię?

— Małgorzata — odpowiedziała służąca, bardzo zadowolona ze stopniowania komplementu.

— Więc panno Małgosiu, mam prośbę do pani. — jakby na wymowniejsze tej prośby poparcie, wyjął z kieszeni portmonetkę i wsunął banknot dwukoronowy w rękę dziewczyny. — Ja tutaj przydę tak za pół godziny, może za godzinę. Panna Małgosia mi powie, czy kuzynka moja już poszła i w którą stronę się skierowała. Dobrze panno Małgosiu? Ja będę bardzo wdzięczny...

— Dobrze, proszę pana, dlaczegożby nie? — uśmiechnęła się Małgosia, ujęta grzecznym zachowaniem Stobińskiego i sutym napiwkami.

Oczy jej jednak błysnęły przebiegle i filuternie spoglądając na Stobińskiego, zapytała:

— Ale tej pana kuzynce to nie trzeba pewnie mówić, że pan się o nią pytał?

Stobiński spojrzał na nią bystro. Zrozumiał, że go sprytna dziewczyna przejrzała.

— Panna Małgosia jest rozumna i domyślna. — wyrzekł, uśmiechając się trochę z przymusem — Tak jest, nie trzeba nic mówić...

I sięgnął znowu do portmonetki.

— Rozumiem, proszę pana.

— Więc gdyby nie ten list, to ty byłabyś!... O Józku, Józku! Jak mogłaś zapomnieć! Nie! Nie!... Daruj dziewczynko, nie mam prawa robić żadnych wymówek! Ieś ty wycierpała, biedne małenstwo moje! To ja byłem wszystkiemu winien! To ja byłem zły, samolubny! Ale już nie będę taki, Józku, nie będę!

— Konradzie, nie mów tak dużo, może ci to zaszkodzić... Uspokój się, połóż — prosiła Józka, poprawiając poduszki i usiłując ułożyć na nich głowę Zarnickiego.

— Nie, nic mi nie będzie! Czuję się daleko lepiej, prawie zupełnie dobrze! Zobaczysz, wyzdrowieję niedługo! Nie zawsze będę taki niedołężny i słaby jak teraz! O! Jak ja tęskniłam za tobą, jak pragnęłam cię zobaczyć! A ty Józku, a ty?...

— I ja także... bardzo... bardzo...

— Matka moja! Najlepsza, złota Józka! Dłama mnie rzucała wszystko i wszystkich! O! Ja cię nie znałem, Józku, ale teraz zostaniesz przy mnie... Nie wróć do tego tam! Nigdy, nigdy!

Mimowolnie jakś uśmiech gorzki przemknął po wargach Józki. Powracająca trzaskającą głowę myślała jej jasno, że widać teraz niestety i do nikogo nie może, bo mosty spaliła za sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi)